

JEDNAK KSIĄZKI



GDANSKIE CZASOPISMO HUMANISTYCZNE

2015 nr 3

Polski mit narodowy

OD REDAKCJI

RĘKOPIS ZNALEZIONY W POPIELNIKU. ZAMIAST WSTĘPNIKA

odkurzył, zrekonstruował i do druku podał MD

[Poniższy urywek artykułu odnaleziony został podczas przedświątecznych porządków w redakcji JK. Obszerne fragmenty maszynopisu, wraz z nazwiskiem dotąd niezidentyfikowanego autora, uległy nieodwracalnemu uszkodzeniu. Pochodzenie jego nie jest jasne – prawdopodobnie należy on do tej kategorii tekstów, których jako niezamówionych redakcja nie zwraca. Tytuł – od redakcji. – Przyp. red.]

... i nie popaść w truizmy. Może więc nie warto powtarzać tez, że słowo „naród” pozbawione jest jednolitego desygnatu, że denotowany przezeń sens podlega niezliczonym zapośredniczeniom, mediatyzacji, że zależy od zaakceptowanego interpretanta, i że – skoro już przywołaliśmy Peirce’owski model znaku – uwikłane jest ono w proces nieskończonej semiozy i wobec tego na kształt de Manowskiej alegorii mamy nas jedynie pozorem ustabilizowanego znaczenia, odsyłając w nieskończoną podróż w przeszłość, ku utraconym i traconym z każdym krokiem źródłom sensu, warunków porozumienia, wspólnej tożsamości, po których pozostał jedynie nieinterpretowalny ślad? I może nie warto już unieważniać tego dyskursu, tej przypowieści o upadku wielkiej narracji oznaczanej niegdyś znakiem „naród”? Może nie trzeba odwracać znaków i na siłę dialektyzować jej wywodu, udowadniając, że ruch ku mitycznej esencji-pierwotnemu znaczeniu jest równocześnie

ruchem ku przyszłości, i że hermeneutycznie odpowiada pewien gest performatywny, że arché konstruowana jest ze względu na telos? I że tropiąc ów nieuchwytny ślad, ukryte znaczenia tego słowa pojemnego jak Witkacowska powieść-worek, tyleż rekonstruujemy normatywny obraz naszej genealogii, ile projektujemy utopię przyszłej wspólnoty.

Bo jak rozpocząć – i czy w ogóle rozpoczynać – kolejną dyskusję o narodzie, a raczej „narodzie”: znaku-węźle różnoimiennych dyskursów tożsamościowych? Wszak pytając o naród /„naród”, w gruncie rzeczy pytamy... O co właściwie? O ideę, esencję, narrację, mit, dyskurs, zespół wartości, system różnic? Poszukujemy jakiejś definicji? Normatywnej czy jedynie dystrybutywnej? Egzemplów? Projektu? Łakniemy adekwatności rzeczy i intelektu czy jedynie jasnego i wyraźnego obrazu w oku umysłu?

Jaki sens w ogóle mają pytania tego rodzaju? Czy aby nie są raczej performatywami ustanawiającymi naszą własną pozycję względem niewyczerpalnego zasobu możliwych atrybucji tożsamościowych wobec przymusu autookreślenia w wymiarze indywidualnym i grupowym, presji wyboru/wyborów, których nie szczędzi nam nasza (powszednia) ponowoczesność?

Niezależnie od sensu, jaki zdecydujemy się nadać słowu „naród”, niezależnie od treści, które presuponować będą wszelkie pytania zadane w tym kontekście, nawet wówczas, gdy podejmiemy (utopijną) próbę uwolnienia się od wszelkich uwikłań w esencjalne definicje i schronienia się w azylu (politycznie bezpiecznej) relatywizacji, i tak pozostaniemy więźniami pewnego zamkniętego systemu semiotycznego, którego „znaczącymi” są poszczególne odpowiedzi na pytanie „quid est natio?”. Pytanie, czym jest/powinien być – dla mnie/dla Ciebie/dla nas/dla tamtych także – naród, ustanawia nas nieuchronnie w roli klientów metafizyki przedstawienia i kondotierów światooobrazu. Podobnie, jak każde inne pytanie uwikłane ontologicznie.

Rzecz jednak w tym, że odpowiedzi w duchu czysto nominalistycznym („Nie sprzecajmy się o słowa!”) i redukcjonistycznym (unieważniliśmy termin – zniknął problem) nie usatysfakcjonują tu bodaj nikogo. Samo wyartykułowanie – choćby mimochodem – słowa „naród”, ma zawsze jakiś wymiar performatywny: wikła nas w asercję określonych przekonań (lub antyprzekonań), czyni nas podmiotem narracji (lub antynarracji) tożsamościowej, wyluskuje nas z indywidualności i lokalizuje w określonym dyskursie zbiorowym, niepowtarzalną, jednostkową genealogię wpisuje w historiografię (jakiejś) wspólnoty.

Skoro więc od pytań ucieczki nie ma, a odpowiedzi grożą utknięciem w ślepym zaułku (przykład skrajny: fetyszizm ideowy ruchów nacjonalistycznych i alienacja

tożsamości indywidualnej w zideologizowanym dyskursie), rozwiązaniem godzącym praktyczną – codzienną, społeczną i polityczną zarazem – potrzebę mówienia o własnej zbiorowej autoidentyfikacji z permanentnym brakiem wiary w substancjalne istnienie jej predykatów, otóż jedynym je godzącym środkiem jest stałe podtrzymywanie dynamiki sporu o naród / „naród” – ideę i znak.

Jesteśmy współcześnie świadkami deterytorializacji więzi tożsamościowych (globalizacji procesów ekonomicznych i migracji na skalę wędrówki ludów) oraz paradoksalnego zerwania tradycji z historią (poprzez zredukowanie tej pierwszej do retoryki „tradycjonalistycznej”, tej drugiej – przynajmniej w wymiarze debaty publicznej – do wymiaru chóralnej monodii, bez kontrapunktu, polifonii, chromatyki). Jakkolwiek egzaltowanie by to nie zabrzmiało: stoimy w obliczu alienacji względem miejsc, do których (nie)przynależymy, i względem czasu, nieakumulującego się już w wymiarze ponadjednostkowym, sprowadzonego do postaci strumienia momentalnych terażniejszości. Na naszych oczach kształtują się więc także reaktywne formuły życia zbiorowego: nacjonalizmy ufundowane na lękach ekonomicznych i kulturowych oraz płytkim afekcie zogniskowanym wokół kilku-kilkunastu symboli, wyzbytych głębi i zredukowanych do zbanalizowanego wymiaru perswazyjnego.

Przyswoiliśmy tymczasem koncepcję narracyjnego wymiaru tożsamości indywidualnej i dyskursywnego wymiaru istnienia „wspólnoty wyobrażonej”. Jednej i drugiej pozwoliliśmy istnieć na sposób historyczny, to jest zmienny – pierwszej jako rozwijającej się, akumulującej i modyfikującej w czasie, drugiej – jako zrelatywizowanej względem wycinka dziejów i charakterystycznych dlań relacji władzy/podległości. Cóż więc stoi na przeszkodzie, by sam akt autoidentyfikacji narodowej, autoatrybucji pewnych cech uznanych za tożsamościowo istotne opisać w kategoriach zdarzeń niesamodzielných, lecz współkonstituujących fabułę naszego życia, wzajemnie zdialogizowanych, zdialektyzowanych, wzajem się korygujących i/lub unieważniających, podległych totalizującej syntezie lub wypieranych? Czy można zaakceptować obraz narodowej tożsamości jako zbioru narracji nie tylko wzajemnie niekoherentnych, ale i wewnętrznie niespójnych, ba! – wewnętrznie sprzecznych? Czy „tożsamość narodową” można postrzegać jako praktycznie nieograniczone „genologiczne pole odniesienia”, hermeneutyczną przestrzeń nieprzeliczonych tradycji polskości, wedle której dokonujemy w sobie rozpoznania/lektury „indeksalnych cech narodowych” i autoatrybucji gatunkowej „Polak”? Czy – innymi słowy – „tożsamość narodowa” jest ponadjednostkowym paradygmatem nie „formy” polskości lecz jej możliwych interpretacji? Czy możliwe jest

– w pewnej fazie życia – bycie Polakiem całkiem odmiennym od Polaka, którym się było, i tych, którymi się będzie w przyszłości? A „odrobinę mniej Polakiem” niż swego czasu? Lub też nieco bardziej niż do niedawna? I czyż nie prościej w tych kategoriach postrzegać tożsamości podwójne, „piętrowe”, pograniczne, mieszane, niedoprecyzowane, „tutejsze”, imigranckie i emigranckie?

Myślenie o narodzie jako hermeneutycznej (genologicznej, nacjologicznej) przestrzeni odniesienia moich indywidualnych i – co ważne, aktualnych w tym właśnie momencie mojej prywatnej historii – cech, które rozpoznaję jako indeksalne dla pewnego wymiaru polskości, pozwala mi tożsamościowo definiować się w kategoriach narodowych, nie poszukując jednocześnie żadnych esencjalnych tego uzasadnień (krew, ziemia, język, wiara, skłonność do wódki, ułańska fantazja, sarmackie pieniactwo, miłość do koni, brak słuchu) ani wątpliwych analogii do powszechnie akceptowanych „narodowych” wzorców. Pozwala mi definiować własną polskość w kategoriach indywidualnego doboru i dyspozycji symboli, których dostarcza mi tradycja, bez potrzeby stosowania się do jakiegokolwiek z góry zadanej konwencji. Pozwala akceptować nieuniknioną ewolucję własnego obrazu relacji ja-zbiorowość, ojczyzna, tradycja, państwo, władza, społeczeństwo, współobywatele – bez konieczności odżegnywania się od niegdysiejszych poglądów czy redefiniowania ich jako nie dość polskich, resp. patriotycznych. Pozwala mi wreszcie korzystać, w miarę ewoluujących przekonań, także i z innych „przestrzeni nacjologicznych” i z uniwersów symbolicznych właściwych innym zbiorowościom, z polską pozostających w styczności – sąsiedzkiej lub nie, przyjaznej lub nie, definiującej się przez pokrewieństwo lub opozycję. Nieprawdą jest bowiem także, że zasada „nie można być trochę w ciąży” odnosi się do kwestii autoidentyfikacji narodowej.

Czy retoryka aktu autoidentyfikacyjnego nie powinna przelamywać reguł gramatycznych identyfikacji zbiorowej? Czy procesualna jego zmienność, ciągle przeciwstawianie własnych sygnatur dyktatowi narodowego pisma nie zdaje w gruncie rzeczy rachunku z dramatycznego napięcia towarzyszącego konfliktowi między indywidualną wolnością samookreślenia a koniecznością utożsamienia z grupą, zbiorowością, jej tradycjami? I czy, koniec końców, ten bunt jednostkowej interpretacji przeciwko trupiejszym wykładniom wspólnoty nie służy dobru tej ostatniej, stając się przesłanką ewolucji, adaptacji do zmieniającego się świata?

I jak w ogóle mówić o tym wszystkim i nie (po)paść (w) tru...

[Tu tekst artykułu się urywa. – Przyp. red.]